

Zbigniew Raszewski

Wieczór z Aloesem : Przybyszewski w nieznanej powieści Rittnera

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce
literatury polskiej 50/3-4, 651-665

1959

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

ZBIGNIEW RASZEWSKI

WIECZÓR Z ALOESEM

PRZYBYSZEWSKI W NIEZNANEJ POWIEŚCI RITTNERA

Tadeusz Rittner nie zostałby może powieściopisarzem, gdyby nie zawody, których doznał w r. 1905 jako dramaturg. Debiutował wprawdzie jako nowelista, ale pasją jego życia był teatr. W roku 1904 zdawało się już, że zdobył go wstępny bojem. W *małym domku* miało znaczne powodzenie w Polsce, a w Wiedniu „awangardowy“ Intimes Theater wystawił po niemiecku *Sąsiadkę*. Niestety, w następnym roku nawiedziły go dwie klęski: niepowodzenie *Czerwonego bukietu* w Galicji i odmowa Burgtheatru, któremu powierzył niemiecką wersję *W małym domku*. Zwłaszcza odmowa Burgu dotknęła go boleśnie, bo od dziecka marzył o wystawieniu tam swojej sztuki. Rittner zniechęcił się. Rozczarował go Wiedeń i Galicja, a w Warszawie rewolucja nie sprzyjała współpracy teatralnej. 3 września Stefan Krzywoszewski napisał do żony dramaturga:

I niech Pani Tadeuszowi radzi, żeby się nie śpieszył z komedią. Teraz w Warszawie nic wystawiać nie warto, chyba najpłytsze farsy. Najlepiej, gdyby się wziął do napisania powieści. To jest praca zabawna, opłacająca się — i w naszych warunkach najodpowiedniejsza¹.

Możliwe, że Rittner wziął sobie tę radę do serca. Od drugiej połowy r. 1905 do początku 1908 nie pisał dramatów, natomiast w r. 1906 po raz pierwszy zabrał się do powieści. Była to powieść „autobiograficzna“. „*Io voglio avere piena libertà!*“ „Chcę pełnej

¹ S. Krzywoszewski do Z. Rittnerowej. Państwowy Instytut Sztuki (= PIS), rkps 281. O niepowodzeniach Rittnera z tego okresu pisałem obszerniej we wstępie do edycji *Głupiego Jakuba i Wilków w nocy* (Wrocław 1956) oraz w *Rittnerianach* (Warszawa 1956. Odbitka z Pamiętnika Teatralnego, 1956, nr 1). Czas powstania powieści ustaliła Rittnerowa, pisząc na kopercie, w której znalazł się rękopis: „Obce miasto. Napisane 1906“.

wolności!“ Takim okrzykiem, zasłyszonym w dzieciństwie, nad Adriatykiem, zaczął jej narrator opowiadanie o wielkich zawodach swojego życia. Z temperamentu był włóczęgą, z upodobań pisarzem. Pod naciskiem otoczenia został mieszczuchem i urzędnikiem. Wzrósł w Wiedniu, którego nie rozumiał. Mimo to połączył z nim swoje losy na zawsze. Wychowano go w elitarnej szkole dygnitarzy, a o jego przyszłości rozstrzygnął despotyczny opiekun, wyższy urzędnik, wuj Adam. Zresztą opiekun nie był jeszcze najgorszy — zdaje się sugerować narrator — najgorszy był jego własny kolega, a później zięć wuja Adama, Walewski. Ten mieszczuch doskonały wywierał na niego wpływ paraliżujący. On odszukał narratora w Wenecji, kiedy się tam po maturze „zagubił“. I on wskazał mu drogę do namiestnictwa, kiedy po zaręczynach zdecydował się zostać urzędnikiem.

Małżeństwo początkowo go uszczęśliwiło, rychło jednak okazało się, że nie potrafi żyć jak inni ludzie z jego otoczenia. Napisał dramat i uprosił dalekich a wpływowych krewnych-Polaków o wstawienie w teatrze dworskim. Zwrócono mu nie przeczytany rękopis z uwagą o niestosowności takich pomysłów i pytaniem: „A tobie daleko do dziesiątej rangi?“ Niefortunny poeta przecierpiałby może to upokorzenie, gdyby właśnie wtedy nie zetknął się z Aloesem, najwybitniejszym dramatopisarzem polskim, pisującym również po niemiecku i uznanym za granicą. Dopiero po dwukrotnym spotkaniu z Aloesem narrator uświadomił sobie w rozmowie ze swoim przyjacielem Obręczem, że artyści „to jednostki wykluczone przez swą organizację wyjątkową na zawsze z życia społecznego. Tak jak zbrodniarze...“ Przyjaciel uprzytomnił mu tę prawdę, bo chciał mu oszczędzić podobnego losu i jedynie z ironii utytułował go: „przyszły Aloesie“. Wynik rozmowy był inny, a zdecydował o tym wymowny gest przyjaciela, który nagle otworzył okno na Wiedeń, jak gdyby chcąc pogodzić buntownika z życiem. „Znam ten widok aż nadto“ — odpowiedział tamten z niesmakiem. — „Wiedeń ogranicza się do tego widoku. Ma tylko panoramę, ale nie ma duszy...“

— Co ty wiesz o duszy tego miasta! Mieszkasz tu od lat...

— ...I dziś tak samo jest mi tu obco, jak przed laty... W dzień przed moim wstąpieniem do zakładu zaprowadził mnie wuj Adam na Kahlenberg. Zobaczyłem wtedy po raz pierwszy ten widok i ucieszyłem się; miałem może jakąś nadzieję, że kiedyś dostanę się do wnętrza, do duszy tego miasta... I minęły lata, jestem już dawno w życiu...

- ...A to życie jest dla ciebie tak samo widokiem tylko, jak niegdyś..
- Miasto, miasto.
- Życie, wierz mi, życie. Gdziekolwiek będziesz, zawsze będziesz na „obczyźnie“. Bo zawsze będziesz sam...

Narrator nie czekał dłużej i ruszył na dworzec. Do Paryża! Paryż był dla niego od czasów studenckich uosobieniem wolności i symbolem spełnionych marzeń. Na dworcu zabrakło mu odwagi. Miał już bilet i wybierał się na peron, kiedy przypomniał sobie żonę. Nagłe pojawienie się Walewskiego — w nocy, w hali dworcowej — przyjął jako rzecz zupełnie zrozumiałą, a nawet jak wybawienie. Potulnie wrócił do domu i obudził się pod czujnym spojrzeniem żony. „Jej twarz jest spokojna i pogodna. A jej oczy patrzą na mnie jak życie“ — kończył swoje opowiadanie.

Utwór nazywał się *W obcym mieście*. Powstał w większości, a może nawet w całości w r. 1906, najwidoczniej z jednego pomysłu w ciągu nieprzerwanej pracy. Był obszerny, liczył 226 kart rękopisu w dużym formacie, około 13 dzisiejszych arkuszy wydawniczych. Na ostatniej karcie autor podpisał się, a obok podpisu podkreślił wyraz „Koniec“. Mimo to gotowej powieści nie drukował. Długo przerabiał ją, tępiąc co drażliwsze i intymniejsze szczegóły, których w niej, trzeba przyznać, nie brakło. Wreszcie w r. 1910 zdobył się na odwagę i zaczął ją ogłaszać w odcinkach w krakowskim *Czasie*.

Wydrukował w ten sposób cztery rozdziały, przy piątym się zawałał. Była to historia pierwszej przygody miłosnej, którą przeżył uczeń Theresianum. Rittner opuścił ten rozdział i posłał do redakcji dalsze: VI—IX. Na tym przerwał publikację. Pomimo różnych retuszów i opuszczenia całego rozdziału sprawiła złe wrażenie. Zofia Rittnerowa zapamiętała niechętny ton i skrzywione miny przyjaciół:

Radzono mu z *Obcego miasta* dać do druku tylko drugą część, bo pierwsza jest niemożliwa.

A to już do reszty zniechęciło Rittnera. Zebrał wycinki z *Czasu*, opatrzył podtytułem „Fragment powieściowy“ i przedrukował bez żadnych zmian w tomie nowel, który niedługo potem ukazał się we Lwowie. Co przeszło przez druk — niech zostanie. Resztę, a więc opuszczony rozdział V oraz X—XXV zostawił w rękopisie².

² Obecnie w PIS-ie, rkps 281. Pierwodruk początkowych rozdziałów: *Czas*, 1910, nry 237—259, 265—267 (w numerach nieparzystych). Przedruk

Mijały lata i wiele się w jego życiu zmieniło. Pogodził się z Wiedniem, zyskał uznanie i powodzenie. Pisał po niemiecku dramaty chętnie wystawiane w Austrii, Niemczech i Szwajcarii. Dopiero zagłada starego świata, wybuch wojny, wyostrzył mu słuch na dysonanse tej pozornej harmonii. Młodość minęła, a on nie osiągnął pełnej wolności. Polacy wybijali się na niepodległość, on tkwił bezczynnie w obcym mieście. Był sławnym pisarzem, ale chodził do biura. Wszystko skłaniało do zadumy, Rittner zaczął pisać pamiętnik i wrócił do powieści. Właściwie napisał ją na nowo, bo perspektywy pamiętnej rozmowy narratora z Obrećcem zupełnie się zmieniły. Coraz natrętniej nurtowała go myśl, że to jednak nie miasto, ale życie go zawiodło. Na swoje szamotania z początku stulecia patrzył z pobłażaniem. Jak zwykle w późniejszym wieku, bardziej niż wiek męski pociągało go własne dzieciństwo. Ze wzruszeniem przypominał sobie dzień, w którym czekał u dziadków na otwarcie drzwi do pokoju z zapaloną choinką: właściwie przez całe życie czekał otwarcia tych drzwi i przez całe życie na próżno. Powoli zaczynał sobie uświadamiać, że otworzą się dopiero na końcu.

Dojrzewiała nowa metafora, której nie dało się wyrazić przy pomocy dawniejszej treści. W pierwszej wersji powieści na 25 rozdziałów 15 dotyczyło studiów, małżeństwa i późniejszych zawodów narratora. W nowej — na 22 rozdziały aż 12 poświęcił Rittner czasom sprzed matury. Wyzyskał część drukowaną, która kończyła się rozpoczęciem studiów, ale powiększył ją o 7 rozdziałów. Przywrócił opuszczony w *Czasie* rozdział V i dopisał 6 nowych. 3 z nich utworzyły nowy początek, czwarty wstawił pomiędzy dawny III i IV, 2 pozostałe pomiędzy IV i V. Zresztą nawet drukowane dawniej przeredagował. Skracał, oczyszczał, nagiął do nowego ujęcia treści. Rozdziały X—XXII napisał zupełnie na nowo. W tej nowej wersji wuj znacznie złagodniał i umarł, zanim zdążył złamać życie narratorowi. Aloes ulotnił się. Po zabiegach o względy teatru nie zostało nawet wspomnienia. Po prostu dyrektor teatru zjawił się któregoś dnia w mieszkaniu debiutanta i poprosił go o rękopis. Wstąpienie do namiestnictwa skomentowano jednym zdaniem:

początkowych rozdziałów: *W obcym mieście*. Nowele. Lwów 1912. Dobre rady przyjaciół opisał J. Schenk inspirowany przez Rittnerową, która sama przełożyła na polski jego artykuł. Zob. J. Schenk, *O nieznanym Rittnerze*. *Czas*, 1928, nry 50—53.

Przed sobą tłumaczyłem się, że muszę myśleć obecnie już nie tylko o sobie samym — bo od kilku miesięcy Wanda była moją żoną.

Cały żal autora do ludzi skrupił się na Walewskim. Rittner nazwał go teraz Pajacem i uczynił niefortunnym rywalem narratora. Uwydatniło to zasadniczy konflikt i uprościło kompozycję. W ogóle w porównaniu z pierwszą wersją powieści narzucało się teraz wrażenie o wiele większego skupienia i prostoty.

Nowa wersja powstała już oczywiście po niemiecku. Początkowo miała się nazywać *Das verschlossene Tor* (*Zamknięta brama*), ostatecznie nazwał ją Rittner *Das Zimmer des Wartens* (*Pokój oczekiwania*). Pod tym tytułem ukazała się jako książka na przełomie l. 1918 i 1919, wzbudzając powszechny podziw i zainteresowanie. Po wyzdrowieniu z ciężkiej choroby (druga połowa r. 1919) Rittner zaczął dorabiać jej wersję polską pt. *Drzwi zamknięte*. Po jego śmierci (19 czerwca 1921) wykończyła tę wersję wdowa (nie ujawniając jednak swego nazwiska). *Drzwi zamknięte* wyszły po polsku w r. 1922 i bardzo się polskiej publiczności podobały. W roku 1937 przełożono je na francuski. Wielu czytelników chętnie wspomina tę powieść do dziś³.

Natomiast *W obcym mieście*, znane tylko z fragmentów, poszło w zapomnienie. Zofia Rittnerowa znalazła po śmierci męża rękopis części nie drukowanych, nie wiadomo jednak, żeby zamierzała go publikować. Uznała go za „pracę przygotowawczą“ do *Drzwi zamkniętych*. W roku 1955 przywiozłem go z wielu innymi ineditami Rittnera do Warszawy. A więc obecnie, oprócz *Drzwi zamknię-*

³ Pierwodruk drugiej wersji powieści: *Das Zimmer des Wartens*. Roman. Berlin 1918. H. Menkes (*Bei Thaddäus Rittner*. *Neues Wiener Journal* z 16 XII 1916) dowiedział się od Rittnera: „*An einem Roman »Das verschlossene Tor« arbeitete ich schon einige Jahre. Es liegt jetzt nahezu vollendet vor*“. Jednak dopiero latem 1917, w Mönchkirchen w Alpach, mógł pomyśleć o zakończeniu. W liście do I. Nikorowicza, z 17 VII 1917, przypuszczał, że po 10 dniach wróci do Wiednia „z ukończonym romanssem“ (zob. Bibl. Ossolińskich, rkps 12205/II). 27 I 1918 czytał w Volksbildungshaus w Wiedniu fragment powieści, już pod zmienionym tytułem *Das Zimmer des Wartens* (zob. *Fremdenblatt*, 1918, nr 27, wyd. wieczorne). Ale jeszcze na początku grudnia nie miał książki (zob. E. Dietrichstein, *Ein Gespräch mit Thaddäus Rittner*. *Neues Wiener Journal* z 4 XII 1918). O autorstwie wersji polskiej zob. Bibl. Ossolińskich, rkps 114/59, akcesja. Pierwodruk: *Drzwi zamknięte*. Romans. Przegląd Warszawski, 1922, t. 1, nr 4; t. 3, nr 12. Wydanie osobne: Warszawa 1922. Przekład francuski: *La Porte fermée*. Roman. Traduit du polonais par P. Cazin. *Le Monde Slave*, 1937, t. 1—3.

tych, poznaliśmy również wcześniejszą wersję powieści, zupełnie do drugiej niepodobną. W *obcym mieście* stanowi dzisiaj całość, której rozdziały I—IV i VI—IX można przeczytać w książce, a X—XXV w szczęśliwie ocalałym rękopisie. Czy warto? ⁴

Niewątpliwie, choćby ze względu na realia tej autobiograficznej powieści. Czytelnik zorientowany w biografii Rittnera rozszyfruje wszystkie z łatwością. Dowie się wtedy wielu interesujących szczegółów o stosunku autora do rodziny, do Wiednia, i o kolejach jego własnej twórczości. Resztę czytelników mogą zaciekawić przede wszystkim realia wiedeńskie, tzn. szczegóły z życia Polaków w Wiedniu. Jest ich mnóstwo, a znaczenie Rittnerowskich opisów najlepiej zilustruje fragment rozdziału XXIV (k. 211—218), który w obecnej publikacji nazwaliśmy: *Wieczór z Aloesem*. Nie trudno się domyślić, że modelem tej postaci był Przybyszewski.

Rittner bardzo interesował się jego twórczością, i znowu łatwo się domyślić dlaczego. Debiutował w r. 1894 jako nowelista polski, ale już w trzy lata później zaczął równocześnie pisywać po niemiecku. Niewątpliwie od początku miał ambicję podtrzymania tej dwoistości, w której poprzednio nikt u nas nie osiągnął powodzenia poza jedynym Przybyszewskim. Otóż Rittner ogłosił o nim obszerny artykuł już r. 1902 w wiedeńskim dzienniku *Wiener Abendpost*. Dotychczasowa literatura polska — tłumaczył w tym artykule wiedeńczykom — jest niezrozumiała bez znajomości kultury polskiej. Polacy, zmuszeni do tego swoim położeniem, w w. XIX uprawiali wyłącznie literaturę na własny użytek, „narodową“. Następstwa tej sytuacji są żałosne, bo ambitnej i ciekawej literatury polskiej nikt w całym świecie nie zna. Przybyszewski to zwiastun jej zupełnego przeobrażenia. Nie tylko dlatego, że poza polskim równie sprawnie włada powszechnie znanym językiem niemieckim. Przede wszystkim dlatego, że jego twórczość, chociaż polska z natchnienia, jest uniwersalistyczna, ponadnarodowa. Po wstępie nastąpiła charakterystyka tej twórczości, szczegółowa i bardzo pochlebna. Pamiętając o ówczesnych zainteresowaniach autora, nie mamy powodu wątpić, że szczerą. Rittner podkreślał swoje polskie pochodzenie. W drukach niemieckich podpisywał się nawet początkowo nie Thaddäus, ale Tadeusz. Pisywał po niemiecku o Fre-

⁴ Schenk (*op. cit.*, nr 53, s. 2) omawiając *Drzwi zamknięte* dodał: „Ale mało kto wie, że Rittner pisał do tego obszerną pracę przygotowawczą: romans *W obcym mieście*“. Było to niewątpliwie określenie Rittnerowej. Por. przypis 2 naszego artykułu.

drze, Słowackim i Żeromskim. Ale we własnej twórczości uprawiał wyłącznie literaturę „uniwersalistyczną“, równie dobrze rozumiała w Krakowie, w Warszawie i w Wiedniu. Na tej drodze miał prawo uznać Przybyszewskiego za przewodnika⁵.

Poznał go osobiście w r. 1906, bo droga Przybyszewskiego jako dramaturga także wiodła do kultury niemieckiej przez Wiedeń. W tym samym Intimes Theater, które wystawiło po niemiecku *Sąsiadkę* Rittnera, odbyły się do r. 1906 trzy niemieckie premiery Przybyszewskiego. W roku 1906 zanośnię na czwartą i pisarz przyjechał do Wiednia w pierwszej połowie czerwca tego roku. Polacy tamtejsi przyjęli go z entuzjazmem jako wymarzonego od dawna artystę polskiego, którym można pochwalić się przed Niemcami⁶.

Rittner nie podzielał tych zachwytów bezkrytycznie. Był zbyt przenikliwym obserwatorem, żeby nie poznać się na błędach Przybyszewskiego, i miał już zbyt wiele doświadczenia, żeby przecenić jego sztukę. Natomiast zafascynowała go wtedy — jego, żalną ofiarę wujów i Pajaców — silna indywidualność Przybyszewskiego. To był artysta, mówił sobie, który właściwie ustosunkował się do filistrów. Ani przez myśl mu nie przejdzie, żeby się do nich dostosować. Przeciwnie, prowokuje ich na każdym kroku, zmuszając do uznania tego, co jemu się podoba. Dla Rittnera była to obserwacja dosyć bolesna, bo zdawał sobie sprawę, że sam nigdy się na tyle odwagi nie zdobędzie.

W gruncie rzeczy stanowisko, które zamierzał zająć w sztuce, przypominało stanowisko Przybyszewskiego. Mogłoby się zdawać, że dzięki związkom z wpływowym środowiskiem osiągnie je łatwiej od swego poprzednika. Tymczasem jego własne otoczenie uznało tamtego hardego cygana, a jemu odmówiło poparcia. Bo uważało Rittnera za jednego ze swoich, a swoim w żadnym razie nie przystoi cyganeria. Powieść zawierała niedwuznaczne aluzje do tego konfliktu. Rękopis dramatu zwrócono narratorowi z napomnieniem,

⁵ Zob. T. Rittner, *Przybyszewski*. Wiener Abendpost, 1902, nr 170. Nie Fremdenblatt, jak podaje Schenk, op. cit., nr 52, s. 2.

⁶ 19 V 1906 pisał Przybyszewski (*Listy*. T. 2. Warszawa 1938, s. 386, nr 562) z Monachium do A. Pajakówny: „Musiałem się dłużej zatrzymać w Wiedniu i dla biblioteki, i dla teatru niemieckiego („Intimes Theater“), gdzie na jesień będą wystawiali *Śnieg*“. Poprzedni list datowany był w Monachium 30 V 1906. Intimes Theater wystawił przed 1906 r. Przybyszewskiego *Dla szczęścia* (*Das grosse Glück*, 1904), *Matkę* (*Die Mutter*, 1905) i *Złote runo* (*Das goldene Vlies*, 1905).

żeby pilnował swojej właściwej kariery. Nawet przyjaciel Obręcz namawiał go na przymierze z Wiedniem⁷.

Domyśliśmy się, kto mógł być modelem Obręcza. Prawdopodobnie przyjaciel Rittnera, starszy od niego o lat osiem Ignacy Rosner, znany już historykowi teatru polskiego ze słynnego wiersza Wyspiańskiego *Był tu u mnie ktoś direkt von Wien*. W każdym razie zacytowaną poprzednio pochwałę Wiednia najłatwiej wyobrazić sobie właśnie w ustach Rosnera, publicysty i polityka, współpracownika tego samego Badeniego, który ojca Tadeusza, Edwarda Rittnera, powołał do swego gabinetu. Rosner był nie tylko gorliwym zwolennikiem Koła Polskiego, poza polityką interesował się również sztuką, byle uniwersalistyczną, nie zaściankową, powszechną. Pamiętamy, na co namawiał Wyspiańskiego w r. 1904, na „so was wie Sudermann, wie Bahr, by grane było wszędzie“. I co mu za to obiecywał: „Tantjeme werden haben Sie, ganz Wien wird auf Euch gaffen“.

⁷ Rittner nie domyślał się, że upłynie zaledwie 9 lat, a nazwisko jego złączy się z nazwiskiem Aloesa w bardzo znamiennych okolicznościach. „Dwóch mamy wybitnych twórców, którzy sławę literatury polskiej bezpośrednio wynieśli daleko poza progi rodzinne, to Stanisław Przybyszewski i Tadeusz Rittner“. Tak pisał J. Geszwind w przedmowie do broszury Rittnera *Powrót* (Nowele. Wiedeń 1915). W tej samej Biblioteczce Polskiej i w tym samym roku ukazał się również Przybyszewskiego *Tyrteusz* (Wiedeń 1915. Z cyklu *Wojna*). Na odwrocie karty tytułowej widniała dedykacja: „Twórcy i serdecznemu druhowi, Tadeuszowi Rittnerowi poświęca Autor“. Nie wiadomo, komu przynosiła wtedy więcej zaszczytu. Przybyszewski był już pisarzem niemodnym i tylko polityka NKN-u sprawiła, że w pierwszych latach wojny zainteresowano się nim w Wiedniu, wciągając go do współpracy publicystycznej. Rittner zetknął się z nim znowu osobiście, kiedy w marcu i kwietniu 1915 Przybyszewski (zob. *Listy*, t. 2, s. 632—633, przypis 57) zatrzymał się w Wiedniu w podróży do Zakopanego. Podejmowano go znowu okazale. Urządzono mu libację na miarę przedwojenną, a nawet dwudziestopięciolecie twórczości. Między innymi aktorzy lwowscy, występujący (po ewakuacji) w Wiedniu pod kierownictwem Rittnera, wystawili wtedy cykl dramatów Przybyszewskiego. Rittner poczuwał się do obowiązku napisania czegoś o autorze. „*Einer der eigenartigsten Poeten und Menschen, Stanislaus Przybyszewski, weilt vorübergehend in Wien*“ — zaczął, nawiązując do przedstawień swojego zespołu i do odczytów autora. Później powtórzył m. in. charakterystykę ze swego poprzedniego artykułu. Jednak bez poprzedniego rozpędu. Przebrnął przez wpływ Przybyszewskiego na otoczenie, ale kiedy doszedł do wątków erotycznych w jego twórczości, zaczął się wikłać, kreślić i przerabiać. Napisał już, że potęgę kobiety może poznać tylko ktoś, kto tak mocno czuje jak Przybyszewski, dodał: „und nur Ei“, przerwał w pół słowa i nie skończył. Zob. PIS, rkps 281.

Z biegiem lat okazało się, że Rittner potrafił pogodzić obydwie postulaty Rosnera. Zawarł przymierze z Wiedniem i nie wymigując się od radcostwa napisał po niemiecku *Don Juana*, dzieło, które „grane było wszędzie“. Rosner pochwalił wtedy *Don Juana* i pierwszy napisał o nim w prasie polskiej, wywodząc uczenie jego temat z prastarej tradycji europejskiej⁸.

W roku 1906 Rittner nie przewidywał takiej możliwości i uważał swój konflikt z otoczeniem za nierozwiązalny. Pozostanie w ministerstwie wydawało mu się wtedy równoznaczne z wyrzeczeniem się twórczości, a czuł, że do zerwania z hofratami zabraknie mu odwagi. W *obcym mieście* stanowiło pośpiesznie utrwalony dokument tych przeżyć. Wypadki, których opis nadał powieści ostateczną wymowę, wydarzyły się w ciągu ostatnich miesięcy poprzedzających rozpoczęcie pracy. Odmowa Burgu nadeszła w jesieni 1905, spotkanie z Przybyszewskim odbyło się w czerwcu 1906, pracę nad powieścią podjął Rittner prawdopodobnie w drugiej połowie tego roku.

Brak dystansu niewątpliwie zaszkodził powieści. Są w *obcym mieście* strony znakomite. Są zachwycające portrety hofratów w rodzaju zbolalego radcy Turkowskiego, który „wiele przeszedł“, bo kilkakrotnie pominięto go przy awansach. Ale są również fragmenty, których niczym nie kontrolowane podniecenie wzbudza dziś pewne zażenowanie. Toteż doceniamy dzisiaj znaczenie tego rękopisu jako dokumentu, z zaciekawieniem odczytujemy najbardziej udane fragmenty, ale trochę się jeszcze wahamy: czy wydać *W obcym mieście* w całości?

TADEUSZ RITTNER

[WIECZÓR Z ALOESEM]

- Będziecie pili dziś dosyć z Aloesem.
- Przypominam sobie z przykrością Aloesa.
- Bardzo mi to nie na rękę — mruczę.
- No, no! — grozi mi Hanka z uśmiechem.

⁸ I. R [osner], *Trzy wieki „Don Juana“*. Czas, 1909, nry 108—112. Był to pierwszy artykuł polski o tym utworze, napisanym po niemiecku i znacznie później wystawionym po polsku. O współpracy Rosnera z gabinetem Badeniego pisał K. Chłędowski, *Pamiętniki*. Wyd. 2, uzupełnione. T. 2. Kraków 1957, s. 224. O jego przyjaźni z Rittnerem zob. S. Krzywoszewski, *Długie życie*. T. 1. Warszawa 1947, s. 172—173.

Wie bardzo dobrze, że mi się naprawdę nie chce. Ale ma ambicję, żebym spędził wieczór z największym naszym dramaturgiem.

Straciłem humor.

— Nie myśl — powiadam — że Aloesowi coś na mnie zależy. Gdyby nie Obręcz, który mnie zawezwał z przyjaźni... zresztą nie wiadomo, czy z przyjaźni dla mnie...

— Adaś!

Rozgniewała się, rzuciła grzebieniem o ziemię.

— Idź albo nie idź!...

Wobec tego zacząłem ubierać się wieczorem. Hanka się pogodziła, weknęła mi jakiś kwiatek w kłapę tużurka...

— Kobiety — — ? — spytała przez zęby.

— Nie wiem.

Pogroziła mi znowu. Z wszystkich stron ją troskliwie mię oglądać...

— Tylko uważaj na siebie — zakończyła pożegnanie swą stereotypową, ledwie zrozumiałą formułką...

„Jak matka“ — myślałem idąc w ulewnym deszczu. „Matka... A przedtem kochanka... Tylko nie żona, chwala Bogu...“

A w restauracji — gdzie zastałem już Aloesa i Obręcza — żałowałem prawie, że przyszedłem, i w dalszym ciągu myślałem o swej kochance...

Bo tych dwóch zaledwie zauważyło, że jestem.

— Teraz pozbyłbym się ich chętnie — mówił Aloes o jakichś akcjach, dźbiąc patyczkiem w zębach i robiąc stroskane oczy.

— Nie radzę — sprzeczał się Obręcz — daję słowo, że one pójda w górę... Zresztą i teraz tak źle nie jest. Widział pan kurs ostatni?

Zadzwonili na kelnera, żeby im przyniósł kursa.

— Deszczyk... co? — spytał mnie Aloes życzliwie podczas pauzy.

Nadszedł mężczyzna o przesadnym formacie ciała i futra, z dużym nosem i dobrośliwym uśmiechem na grubych wargach...

...Obręcz i Aloes przyjęli go owacyjnie. Mnie rzucił z pośpiesznym ukłonem:

— Adler.

— Sam? — spytał go znacząco.

— Nie.. to znaczy... Cesia... jest w hotelu.

— Ten znany, ciężko bogaty Adler — szepnął mi do ucha Obręcz — z Société Internationale des Wagons-lits.

Dodał:

— Ma bajeczną metrese.

Osobistość usiadła i nie zdejmując futra wypita kieliszek koniaku.

— Nowości?! — spytał czy rozkazał Aloes.

I człowiek w futrze zaczął natychmiast, jak fonograf:

— Był raz stary Żyd w Odessie... który miał osiemnastoletnią żonę...

I mówił anegdoty bez końca, przeważnie bardzo drastyczne, jedną po drugiej... A właściwie nie mówił, tylko z niego mówiło jak z automatu. Ale automat był taki, że trudno było patrzeć na niego bez śmiechu. Ledwie się trzymałem, żeby nie ryczeć zbyt głośno i dziecinnie, trząsałem się jak w konwulsjach i patrzyłem prawie z rozpaczą na otwierające się duże usta z czerwonej tekstury i na dziwnie ruchliwe, cybulaste oczy...

Raz maszyna stanęła i zdawało się, że już koniec... ale natychmiast wyjął Adler z kieszeni dużą notatkę, szybko zaglądnął do środka i na nowo zaczął...

— Jak pan się śmieje! — ucieszył się Aloes i dotknął mnie ręką.

W tej chwili ucichłem.

„Psia krew, literat“ — pomyślałem — „innych obserwuje, a niby sam się bawi...“

Zresztą za chwilę czułem dla niego przez kilka minut sympatię, bo szepnął do mnie *en passant*, w pauzie:

— Mamy talent...

Starałem się całą siłą nie okazać żadnej radości. Ale — —

— No, a dalej?! — zapytał Aloes przed siebie.

I człowiek w futrze znowu zrozumiał... czyli tym razem nie zaczął nowej anegdoty, tylko rzekł krótko:

— *Eine Pommery*.

Aloes rozglądnął się naokoło i zaczął:

— Dobre na początek. Białe tapety. Wykwintny, pusty lokal. Na pozór żadnych stymulansów. Ale właśnie ten chłód, ta białość... Potem coś czerwonego — *hein?* Ale nie zaraz. Teraz nawet o tym nie mówmy. Potem ciepło, dym, pstrości horyzontalne, cygańska muzyczka... prawda, panie? (zwrócił się do mnie) ...ale cicho, sza na razie! Nie uświadamiać apetytu. Będzie później tym większy. Na razie chłód, dystynkcja, białość...

Kiedy przynieśli wino szampańskie, pocałował niejako zimne brzegi kieliszka.

— Jak usta dziewicze... Obręcz, cnota ma jednak swój urok... Nie docenia się. Jako *entrée* powinno się... moim zdaniem... Obręcz, dlaczego my czynimy w życiu przeciwnie? Dlaczego żenimy się właściwie na deser? Ożeniłbym się... Artysta ma święty obowiązek skosztowania wszystkich potraw życia... Ożeniłbym się... ale wziąłbym z pewnością jaką czarującą kobietę... np. taką, jak twoja Cesia, drogi Adler... A wziąć taki raj za żonę — zlitujcie się! — jest to samo co fundować bliźnim szampana... Czyli być śmiesznym.

Człowiek w futrze uśmiechnął się dobrotliwie. Ja czułem mdłości niewypowiedzianego wstrętu. Obręcz sięgał po numer *Wiener Allgemeine Zeitung*.

Aloes mówił:

— Pan młody (zwrócił się do mnie), pan powie, że my, artyści, i tak fundujemy bliźnim szampana. Ale to złudzenie. My sobie fundujemy.

Mówił, mówił...

Nieprzyzwoite rzeczy. Czyli o twórczości swojej. Bez cierpienia, wstydu. Tak, jakby matka w pięknej toalecie o swym ostatnim porodzie pięknymi słowami mówiła. Szczegółami się pieścił. O tym, że szparagi mu służą, a szatynki szkodzą...

Niekiedy na sekundę się zamyślił i spytał przed siebie:

— Cóż dalej?

Wtedy człowiek w futrze budził się z odrętwienia i wołał:

— *Eine Pommery*.

Czym dłużej mówił Aloes, tym większą czułem sympatię dla milczącego człowieka w futrze. Siedział upokorzony jakiś i zaszczycony zarazem, cho-

wając wstydliwie duże, czerwone łapy i spoglądając na wielkiego dramaturga jak wół na kanarka. I prawie tęskniłem do jego anegdot.

...Jednak Aloes mówił. Pomimo że potem zmieniliśmy lokal. Przeszliśmy z zimnej „białej“ restauracji do kawiarni Excelsior, gdzie było gorąco, głośno, powietrze gęste, i wszystkie stoliki ubrane były jaskrawo kobietami.

Głowa kręciła mi się z wina. Miałem uczucie jakiegoś nieprawdopodobnego miejsca odgraniczzonego od wszystkich dziennych godzin grubą zasłoną. Zdawało mi się, że jestem w parnej, silnie pachnącej cieplarni, a wszystko, co widzę, to tylko jedna, ogromna róża.

Środek róży był tam, gdzie kipiała muzyka. Kilka głów z błyszczącymi oczami i kilkanaście rąk w nieustającym ruchu... Zdawało się, że ich gra dy mi się z gorącego kotła... zdawało się, że mają wspólne ciało o ruchach obłąkanych. Tak, jakby śpiewał jeden człowiek... Naokoło tego kotła siedziało najwięcej kobiet...

— On jest pijany — mówię do Adlera wskazując na muzykę.

Ale Adler potrząsnął głową.

— Tak się panu zdaje... — rzekł łagodnie.

Dolał mi z uśmiechem wina, jakby mię od tej chwili dopiero polubił.

...Tymczasem Aloes mówił swoje.

„Będę tak robił, jakby go nie było“ — myślałem z jakimś wściekłym uporem.

...Znowu bolało mię serce.

— Ile razy napiję się teraz więcej wina — skarżyłem się Obręczowi — mam takie uczucie, jakby we mnie psy wyły... Wczoraj... W ogóle w ostatnich czasach... Brzydki mi naraz życie.. Nie rozumiem... Nawet ta cała róża mię brzydzi...

...Ale mimowoli patrzałem na kobiety.

Aloes mówił:

— Mnie podoba się najwięcej fioletowa. Jest królową tej sali...

...Tej róży — przerwałem mu bezwzględnie.

Aloes się uśmiechnął.

...Nie wiem wprawdzie, co pan ma na myśli... ale z góry się zgadzam. Dosyć, że fioletowa... Ta, co siedzi pod lustrem i pije lemoniadę przez słomkę...

— Brzydka — zauważył nieśmiało człowiek w futrze.

— Właśnie, brzydka — powtórzył z zadowoleniem Aloes — od pierwszej chwili ją zauważyłem. Najbardziej hetera... Zaraz każę ją... przepraszam panów... ale każę ją przez kelnera zawołać. Bo to grzech, że ona się nudzi. Siedzi sama i lemoniadę pije. Damy jej naszego wina, co nam zaszczyt przyniesie... bo to królowa...

— Brzydka — powtórzył Obręcz...

— Tak, tak... — cieszył się Aloes — niech żyje! Powinna być tym, co my w godzinach trzeźwości i dziennego życia nazywamy brzydkim. Kocham ją. Szlachetny, szczerzy, rzadki człowiek... A raczej nie człowiek, ale szkic genialny... Ich twarze to zawsze szkice. Stworzył jakiś Rops, jakiś wielki... Na te usta patrzcie... Cyniczna kreska, czerwona... Pierwotne... co ? ...A te małe oczka, które mogą się przyśnić... Oczka jakiegoś dziwnego zwierza zdobiącego gzyms gotyckiej świątyni... Powinna być... Musi być tym, co my

w dziennym życiu... Bo czym są te godziny trzeźwości? Okłamywaniem siebie... Wstydzimy się w nich głosu własnej natury. Własnych zmysłów. O kobietach, które nas pociągają jak magnes, milczymy. Zawsze. Przyznajemy się tylko do tych, o których możemy powiedzieć, że są piękne... Z próżności... Do kobiet z głazu, do kobiet — wzorów szkolnych, do kobiet „jak malowanie“... Mówię wam, tylko z tchórzostwa, z bizantyńskiego szacunku dla abstrakcyjnego piękna. Bo niewolnicy jesteśmy... Ale te kwiaty nocne, te w dzień pogardzane... Te smętnie uśmiechnięte personifikacje naszych płciowych pragnień... o twarzach szkicowych, naiwnie jaskrawych... Te zjawiska dlatego tak pierwotne, że w każdym rysie tylko swój cel wyrażające, dlatego tak proste, że zwieźle... Mówię wam... one dają zmysłom naszym wolność i od tego są...

— Brawo! — mruknął ktoś ironicznie.

A Obręcz rzekł do mnie półgłosem:

— Uwważaj, młodzieńcze, chwila pamiętna... Nasz wielki poeta wypowiada swój najprywatniejszy konfiteor zwierzęcy...

...Patrzyłem z prawie zakochaną nienawiścią na wielkiego poetę.

— Nie to, co mówił — mruczałem gniewnie do Obręcza — nie to, że głośno gada tajemnice... Tylko, że po skończeniu mowy oblizał się... Widziałeś? Wyraźnie się oblizał.

— Cicho! — syknął Obręcz i kopnął mię pod stołem.

...Patrzałem w zadymiony pułap i natężyłem boleśnie swój mózg, żeby znaleźć słowo odpowiednie na to, co czułem. Znaleźć słowo na „wycie psów“ we mnie i na to, że nienawidzę twarzy Aloesa i jego duszy. Takie słowo, które mógłbym mu rzucić... ale tak, żeby nie oniemiał potem, żeby wszystkie tajemnice powiedział do końca. Bo czekałem... nie wiedzieć dlaczego... że powie coś obchodzącego mię osobiście.

...I w tej chwili nadeszła fioletowa, którą przyprowadził kelner.

Przywitała się grzecznie i nie wahając się ani chwili, wiedzona instynktem usiadła między człowiekiem, który ją zawołał, a tym, który ją niewątpliwie zapłaci. Zaczęła się bawić monoklem Aloesa i mrużąc oczka szczyrzyć zęby do wszystkich. Przyniosła z sobą obłok słodkich zapachów. Miała dziwnie odruchowe, kocie i okrągłe gesty łapką, ile razy Aloes usiłował dotknąć się jej nagich ramion... jakby chciała drapać... przez sen...

— Dzika jesteś — mówił do niej Aloes — jakbyś przyszła prosto z lasu... Ucieszyła się.

— *I bin schon so. Dös is holt meine Natur* — zaśmiała się dumnie.

— Rozumie się — mówił poważnie Aloes — taka jest twoja natura. Ale od czego cywilizacja? Pamiętaj, że masz być chętna. To podstawa twojej etyki zawodowej. Chętna... Każde twoje spojrzenie winno być pocałunkiem, każdy uśmiech obietnicą szczęścia, każdy ruch symbolem miłości... Nie drap mnie... Czy nie wiesz, że my dwoje należymy do siebie? Powiedźcie jej, bo ona nie wie. My dwoje.

Objął dziewczynę i przygarnął ją do siebie. Ona nie wiedząc, o co chodzi, skrzywiła się z zakłopotania jak diabeł, a on zrobił twarz uroczystą, jakby natchnioną. I przedstawiali jakąś pozę znaczącą, monumentalną... jakąś grupę dla fotografa czy malarza...

Nagle wiedziałem, co znaczą te dwie postacie razem. Ta twarz zmęczo-

na, nerwowa, szara obok twarzy krzyczącej, pstrej, śmiechem skrzywionej. Ból uczułem gdzieś w głębi. Serce bić mi przestało. Jakby ten żywy obraz przede mną obchodził mię samego. Jakby był bezwzględna odpowiedzią na jakieś moje tajemne, rozpaczliwe pytania.

...I bałem się, żeby Aloes i tym razem nie zaczął mówić. Żeby nie tłumaczył zbyt cicho. Żeby nie wypowiadał głośno. Ale nie darował.

— My dwoje — mówił cicho i śpiewnie — ręce sobie podajmy... Deklamował, niby sam się ironizując, ale poważny, smutny, uroczysty.

— Ty, Mimi, Fifi, Lili... czy jak się nazywasz... ty, która jak ja żyjesz z sprzedawania siebie, a nie z pracy pożytecznej, jak obywatele... spójrz mi w oczy, poznajmy się bliżej. Przekonamy się, że się już znamy, zobaczysz. Znamy się, jak głód i zaraza, jak upiór i upiorzyca... My trutnie w ulu... Kochajmy się... Czy nie czujesz, że nas łączy tysiąc wspólnych lęków i wstydy, piękne suknie i wzgarda ludzka? Powiem ci rzeczy, które przeżyłaś razem ze mną, rzeczy, które cię tak zabawią, że aż krzykniesz, jakbyś własną twarz ujrzała w zwierciadle... Tę niby twarz z czerwoną kreską w środku... Powiem ci, jak idziesz szarą ulicą, strojna w pyszne kolory i śmiejesz się... — a szara ulica patrzy na ciebie surowo... Idziesz strojna i świat całujesz oczami — a ulica patrzy surowo...

Aloes mówił „ulica patrzy surowo“, zdawało mi się, że idę w deszcz i błoto — tak jak dziś po południu, po rozmowie z Turkowskim — i słyszę wozy i tramwaje, i widzę hełm policjanta, który na mnie spogląda, i złotą Pallas Atenę, triumfującą przed parlamentem...

— Lili czy Fifi, to twoje życie i moje... Złączmy się i założmy własny świat, w którym nam będzie dobrze, jakby nie istniały ule... założmy własne miasto, w którym ulice nie będą szare, tylko takie kolorowe, jak twoje ciało i suknie, jak moje sny i wiersze...

Podczas mówienia Aloesa zamknąłem oczy, żeby go nie widzieć. Ale słyszałem jego słowa... i przy tym skrzypce „pijanego człowieka“ grały to, co czułem.

...I nie wiem, jak długo siedziałem tak z zamkniętymi oczyma. I rozgrywały się jakieś krwawe walki we mnie... a może grały tylko skrzypce „pijanego człowieka“.

Potem powiedziałem do siebie głośno:

— Jutro wezmę kij i węzełek na plecy...

Rozglądałem się naokoło. Fioletowej już nie było. Róża pociemniała jakoś, tak jakby połowa światła zgasła.

Aloes pił wino w milczeniu, z głową pochyloną.

Szepnąłem:

— Trutnie w ulu...

I spojrzałem na Aloesa czekając, czy jeszcze czego nie powie. Ale on już tylko pił i ziewał...

NOTA

Już po złożeniu obecnego artykułu przeczytałem 7 nieznanych listów Przybyszewskiego do Rittnera. Znalazły się one w drugiej części archiwum domowego Rittnera, która — zakupiona przez nasze władze — złożona została w r. 1959 w PIS-ie (sygn. 582), gdzie od r. 1955 znajduje się już część pierwsza (por. R a s z e w s k i, *Rittneriana*). Są to listy z lat: 1899 (1), 1915 (4), 1918 (2). Zwróciłem na nie uwagę prof. S. Helsztyńskiemu, a na razie sygnalizuję tylko ich treść. Otóż w pierwszym liście Przybyszewski jako redaktor *Życia* zaklina Rittnera o podtrzymanie współpracy z czasopiśmie, nawiązanej za poprzedniej redakcji. W listach pozostałych dziękuje za przyjęcie w Wiedniu i zabiega o protekcję Rittnera w sprawach zapomóg i wiz austriackich, w czym Rittner mu w miarę swoich możliwości dopomagał. Śladów spotkania z r. 1906 w tej korespondencji niestety nie znalazłem.